№ 32. Warszawa, dnia 30 Lipca (11 Sierpnia) 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalne, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

DESZCZ I POGODA.

(Dokończenie.)

Powróciwszy do hotelu, rozmyślałem jak mam dalej postąpić. Zdecydowałem się jechać do p. Mirbault i spróbować układów. Zrobiłem to postanowienie słuchając głosu rozsądku, lecz moja miłość własna bardzo nad tem cierpiała. To też kładąc się spać nie zaniedbałem zrobić tej uwagi, że materace są okropnie twarde, kołdra za cienka i łóżko niewygodne. W ogóle, że w tym hotelu tak samo źle spać, jak źle mieszkać i źle jeść dają.

Nazajutrz wyjeżdżając kazałem sobie przynieść rachunek, spojrzawszy w ogólną sumę zacząłem krzyczeć, że mnie ze skóry chcą obedrzeć. Gospodarz stracił już cierpliwość i zaczął także krzyczeć. Powiedziałem mu, że wcale nie zapłacę, jeżeli mi od tego dużo nie opuści. Gospodarz zaczął się przysięgać, że nie odstąpi ani grosza i potrafi mnie zmusić do zapłacenia. To obustronne upieranie się sprowadziło wszystkich podróżnych znajdujących się w hotelu; próżniaków, kobiety i dzieci z ulicy. W końcu powiedział gospodarz, że mnie zaprowadzi do komisarza policyi na co się zgodziłem. Poszliśmy więc do urzędnika magistratu, otoczeni zaciekawioną zgrają ludzi, jak jacy becarze. Chciałem sam przedstawić cały ten interes, ale zaledwie wymówiłem kilka słów, co prawda nie co za żywych, przegrałem sprawę i zostałem osądzony; wtedy zacząłem zarzucać urzędnikowi stronność, niesprawiedliwość, kazał mi być cicho i pokazał drzwi. Wyszedłem wołając, iż popełnione zostało nadużycie, samowola, a tłum ludzi towarzyszył mi aż do hotelu; możecie sobie wystawić jak ich śmiechy wydały mi się głupowate a ulicznicy goniący za mną ochydni. Rzuciłem, że tak powiem, pieniądze w twarz gospodarzowi, skoczyłem na Bébégo i puściłem się galopem drogą prowadzącą do mieszkania p. Mirbault.

Przyjechawszy kazałem się zameldować i wprowadzono mnie bezzwłocznie. Ten pośpiech wydawał mi się podejrzanym, przewidziano więc, że przyjadę i oczekiwano na mnie. Groźba procesu była tylko widocznie użytym podstępem, aby mnie zmusić do przybycia i układów.

P. Mirbault, był to człowiek około pięćdziesięcioletni; cała jego postać wyrażała dobroć, szczerość i uczciwość, lecz niedowierzałem temu wszystkiemu. Zadowolnienie, które spostrzegłem w jego oczach, gdy wszedłem do jego gabinetu, mogło także odznaczać radość tygrysa, który widzi swą zdobycz wpadającą dobrowolnie w jego pazury.

Przystąpiłem odrazu ze sztywną miną do celu mojego przybycia, słysząc to twarz p. Mirbault się rozjaśniła.

— Ah! panie! jakąż szczęśliwą myśl pan miałeś i jakże się wstydzę, że mnie pan w tem uprzedził. Powierzać swoje interesa plenipotentom, jest to samo co przyczyniać sobie wiele kłopotu. Masz pan racyą, my sami prędzej coś postanowimy, naradziwszy się raz wspólnie i przyśpieszemy rozwiązanie tej sprawy z wzajemnem naszem zadowolnieniem, aniżeli by to zrobili najlepsi adwokaci na dwudziestu posiedzeniach.

W tem szlachetnem odezwaniu się zacząłem upatrywać głęboko ukrytej chytrości; ale nie dam ja się złapać na ładne słówka, pomyślałem sobie, i przekona się mój przeciwnik, że nie dam się podejść. Zacząłem coraz ostrzejszym tonem wyliczać wszystkie dowody, które mogły potwierdzać aż nadto moje prawa do sukcesyi. P. Mirbault słuchał mnie z wielką uwagą, a gdy skończyłem mówić, odrzekł bardzo grzecznie:

— To co pan mówisz, dowodzi, że jesteś o słuszności swych praw mocno przekonany i dodam, że dowodzenie pańskie zrobiło na mnie niejasne wrażenie, lecz jednakże, pozwól pan, abym zaczem na to odpowiem, rozpatrzył się jeszcze w moich prawach, co do tego spadku, gdyż przyznaję się, że nie zgłębiłem ich jeszcze dokładnie.

Ta zwłoka o którą prosił, nasunęła mi myśl, iż czuje się pobitym i chce zyskać na czasie, aby zastawić na mnie jaką łapkę. Lecz nie mogąc jak tylko przystać na jego żądanie, przyrzekłem sobie mieć się na ostrożności.

P. Mirbault mówił tak dalej:

— Akta moje są w S., u mego plenipotenta, poślę po nie służącego. To opóźni cokolwiek nasze przystąpienie do interesu, przykro by mi było doprawdy, gdybyś się pan miał tutaj trudzić drugi raz daremnie. Otóż chcę panu zaproponować, abyś mi zrobił ten zaszczyt i przyjemność i przyjął u mnie gościnność, którą panu z całego serca ofiaruję; aż do jutra rano uważać pana będę tylko za gościa i nie będziemy mowić o interesach. Jutro, zaraz od rana przyjdę do pana z mojemi dowodami, porównami je z pańskiemi, staniemy się jednem słowem przeciwnemi stronami, a mam nadzieję, że nie będzie to na długo.

Wymawiałem się, p. Mirbault nalegał i prosił, w końcu ustąpiłem przekonany w duchu, że wszystkie sposoby będą użyte, aby uśpić moją czujność, roztropność i zmiękczyć energię, lecz byłem zdecydowany obrócić w niwecz wszystkie manewra nieprzyjaciela.

W kilka chwil potem, p. Mirbault odsłonił swoje pierwsze baterye, zapraszając mnie na przechadzkę do swego ogrodu, który założony przez niego i uprawiany pod jego kierunkiem, miał zawierać najrzadsze i najpiękniejsze rośliny. Ah! jakże sobie obiecywałem upokorzyć jego dumę tem obojętnem na wszystko spojrzeniem, które miało znaczyć: „Jestem zanadto dobrze wychowany, aby ci powiedzieć, że to wszystko jest szkaradne, ale w istocie tak sobie myślę."

Poszedłem z p. Mirbault, który mnie zaprowadził do kwiatowego ogrodu... ale cóż to był za ogród.

Wystawcie sobie ławkę z marmuru u wejścia do groty utworzonej z bzu tureckiego i włoskiego a na tej ławce młodą pannę, trzymającą książkę w ręku. Gdy usłyszała nas wchodzących przestała czytać i podniosła swe oczy na nas.

Gdybym wam powiedział, że miała czarne włosy, olśniewającej białości cerę, dwa rzędy pereł zamiast zębów, prześliczne ręce i cudowną nóżkę przedstawiłbym wam obraz tysiąca pospolitych, ładnych kobiet, lecz który dalekim byłby od dania wam rzeczywistego o niej wyobrażenia.

Dodajcie do tego, że chmury się rozproszyły, słońce roztaczało dokoła swe jasne promienie a ja czułem się przejęty ożywiającem mnie ciepłem. Grzędy z kwiatów, aleje, trawniki, krzewy, wszystko co składało ogród kwiatowy p. Mirbault znikło z moich oczów, zaręczam wam nic nie widziałem a przecież zawołałem uniesiony podziwieniem:

— Co za prześliczny ogród, chciałoby się tutaj żyć i umierać!

Młoda panienka była siostrzenicą p. Mirbault, na imię jej było Celestyna, imię jej nie kłamało wcale.

Obiad wydawał mi się wybornym, panna Celestyna przy nim gospodarowała. Podczas deseru p. Mirbault wspomniał o zaletach swojej siostrzenicy i przyznać musiałem, że jest to człowiek obdarzony wielkim rozsądkiem, prawością serca i umysłu, a co za tem idzie i poczciwością godną całego mego zaufania. I dał mi jej też zaraz nazajutrz dowód, wykazując mi najoczywiściej, że ma lepsze prawo do sukcesyi jak moje, co mnie mocno zadziwiło, żem tego odrazu nie spostrzegł.

Ażeby osłodzić gorycz mojej porażki, p. Mirbault zaprosił mnie bardzo uprzejmie, ażebym pozostał ze dwa tygodnie w jego, jak mówił pustelni. Przyjąłem to zaproszenie z uniesieniem wdzięczności, a gdybym mógł byłbym postawił ołtarz temu zacnemu człowiekowi, jako bożkowi wspaniałomyślności.

P. Mirbault zabierał mnie co rano, abym podziwiał jego nowo sprowadzone rzadkie rośliny, a ja patrząc przez okno cieplarni, podziwiałem pannę Celestynę, podlewającą swe róże.

P. Mirbault lubił spory naukowe i pobijał mnie w rozprawach filozoficznych zawsze ile razy wstawaliśmy od stołu, może w tem była wina fortepianu, odzywającego się w sąsiednim pokoju pod paluszkami ładnej panny.

P. Mirbault zapraszał mnie zawsze wieczorem, abym mu towarzyszył na spacer i byłbym nie miał nic przeciwko temu, gdyby nie to, że obawiając się zaziębienia powracałem do domu przed zachodem słońca. Podczas bowiem tych spacerów, ręka Celestyny opierała się na mojem ręku i tak mi z tem wszystkiem dobrze było, że gdy upłynęły pierwsze dwa tygodnie, nastąpiła druga serya piętnastu dni spędzonych na tych samych zajęciach.

Nakoniec, gdy się drugie dwa tygodnie skończyły, odjechałem.

Lecz żegnając się z Celestyną i jej wujem nie miałem ani przedłużonej miny, ani tych podejrzliwych uprzedzeń z jakiemi tu przyjechałem, śmiałem się, śpiewałem, byłbym wyskakiwał w tańcu najzgrabniejsze autosza i piruety.

Ośmieliłem się powiedzieć Celestynie:

— Kocham cię!

Odpowiedziała mi podając rękę, a p. Mirbault dodał ze swoją zwykłą szczerością:

— Będę, daję ci słowo, bardzo szczęśliwy, że cię nazwę moim siostrzeńcem.

Jechałem więc urządzić moje interesa i zebrać potrzebne papiery, intercyza miała być podpisana za moim powrotem.

Wsiadłem lekki i szczęśliwy na Bébégo, pieściłem go głaszcząc i zachęcając do biegu, pokłusował jak błyskawica, był to zefir nie koń.

Przybyłem do S., bruk już był suchy, wystawy sklepowe ozdobione klejnotami, kryształami i różnokolorowemi materyami, jaśniały i migotały w słońca promieniach; na balkonach i w pootwieranych oknach pełno było wazonów z kwiatami, mieszkańcy stojąc we drzwiach swych domów rozmawiali ze sobą, zdawało mi się, że całe miasto przybrało jakąś odświętną postać, że mężczyzni spoglądają się uprzejmie i przyjaźnie a kobiety wcale są ładne. Byłbym chętnie rzucał garście drobnych pieniędzy ulicznikom, tak mi się wydawali pełni dobrego humoru.

Pobiegłem do mego plenipotenta, a gdy mu powiedziałem uśmiechając się i ściskając za rękę, że już się porozumiałem z p. Mirbault, winszował mi tego jak najserdeczniej. Pomimo, że ubyła mu jedna sprawa, uwierzyłem szczerości jego życzeń i byłem przekonany, że nie ma pewnie drugiego człowieka tak bezinteresownego i tak lubiącego zgodę jak on.

Bébé okropnie się zgrzał, potrzebował odpocząć z godzinę i zjeść dobry obrok, zaprowadziłem go... i czy uwierzycie? do hotelu *Pod Łabędziem z krzyżem*. Być może, że wyrzuty sumienia wpływały na to.

Roześmiałem się szczerze z dowcipu naszych przodków, którego szyld dobrą był próbką i przemówiwszy jak najłagodniej do chłopca, któremu powierzyłem konia dodając do tego sztukę monety, przeznaczoną na zatarcie wspomnienia mego brutalstwa, poszedłem do sali, w której znajdował się gospodarz zawsze z czapką w ręku. Przypomniałem mu żartując, moje grubiańskie znalezienie się i wytłomaczyłem mu, że to nastąpiło jedynie z przyczyny mego złego humoru, krótko mówiąc: przeprosiłem go. Zawstydzony kłaniał się ciągle aż do ziemi. Co to za zacny człowiek! Nie pojmowałem jak mogłem obrazić takiego poczciwca; widziałem teraz jasno, że komisarz policyi osądziwszy sprawę na moją niekorzyść, miał najzupełniejszą słuszność, że zanadto nawet ukazał się dla mnie łagodnym, był to urzędnik odznaczający się nietylko przez swą sprawiedliwość ale i umiarkowanie.

Ażeby zupełna nastąpiła zgoda, jadłem obiad przy wspólnym stole i to z wielkiem apetytem, a nawet z przyjemnością; potrawy były wyborne posługujący służący bardzo uważający i uprzejmy, komisanci nadzwyczaj dowcipni, kupcy potrafili być bardzo przyjemnymi nawet rozmawiając o interesach; będący tam artyści mieli się stać kiedyś prawdopodobnie chlubą swego kraju, a kapitaliści zalecali się wszystkiemi cnotami obywatelskiemi.

Opuściłem miasto S., ogłaszając je za prawdziwy Eden.

Miałem jeszcze do przebycia pięć mil, ale podróżowałem teraz po rozczarowanym kraju. Niebo było czyste, słońce gorące, droga obsadzona drzewami, rzucającemi na ziemię swój cień dobroczynny; łąki poprzerzynane szemrzącemi strumykami i posiane kwiatami; owady brzęczały, słowiki śpiewały, zadowolenie błyszczało na twarzach spotykanych wieśniaków a widok ich przypominał mi opisy złotego wieku. Wszystko usposabiało mnie do marzeń, którem się też zupełnie oddałem jadąc powoli i przybywszy do domu, droga nie wydała mi się wcale tak długą. Zeskoczyłem z konia i rzuciłem się na szyję Maryannie, która zaczęła płakać z radości.

— I czy jeszcze będziecie utrzymywać — dodał mój przyjaciel, kończąc swoje opowiadanie — że realizm rządzi światem? Wierzcie mi, nasze wrażenia nawet najżywsze podlegają zawsze kwestyi zdrowia i temperatury, jednem słowem, obcym wpływom, które je wywołują, odgrywają wielką rolę w sprawach naszego życia a niekiedy i przyczyniają się do naszych losów.

Tłomaczyła *K. Gościmska.*

---

* * *

Cmentarze i biblioteka,
Jednakie mają znaczenie:
Tam giną kości człowieka,
Tu myślom grozi zniszczenie.

I tu, i w grobów popiele,
Z tych, których imię zostało,
Wezwanych bardzo jest wiele,
Ale wybranych zbyt mało.

A z czasem, zwykłą koleją,
Gdy pamięć odmówi straży,
Wszystkie te księgi zbutwieją,
Znikną pamiątki z cmentarzy.

Bo tylko w ludzkiej pamięci,
Ten idzie z rodu do rodu,
Kto życie ludziom poświęci,
I przejdzie w życie narodu.

Antoni Kruman.

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napieralską.

(Dalszy ciąg.)

II.

Anusiu — mówiła mama przy odjeździe, korzystając z chwili znalezienia się sam na sam ze mną. — U wujostwa będziesz spotykała wielu bogatych, wykształconych, wielu stojących na wysokim szczeblu społeczeństwa ludzi. Oni wszyscy lub przynajmniej niektórzy z nich, mogą cię chwilowo otoczyć względami, lecz nie przywiązuj do tego nadzwyczajnej wagi. Mimo wszystkich zalet jesteś tylko biedną dziewczyną w porównaniu z Horcią. Jej zawsze wolno więcej niż tobie, ona łatwiej może nadawać sobie prawa i przywileje, gdy posiada odpowiednie ku temu warunki. Nie znasz, moja miła jedynaczko, tego wielkiego świata. Byt materyalny stanowi w nim o wszystkiem niemal. Bogactwo daje przewagę o jakiej ludziom biednym często nawet marzyć trudno. Chwilowo może zabłyśniesz w tym świecie, lecz trzeba zawczasu pogodzić się z myślą, że baronówna będzie otrzymywała pierwsze miejsce zawsze i wszędzie może. Pragnęłaś wyfrunąć za obręb Wólki, pozwoliłam ci, rwałaś się do lotu z pod skrzydeł macierzyńskich, nie sprzeciwiałam się, pałałaś chęcią życia na szerszej widowni, nie ganię ci tego. Usunę tym sposobem mogące się zrodzić podejrzenie w twych myślach, o dążeniu matki do przeszkodzenia ci w używaniu przyjemności. Nie będziesz przynajmniej z goryczą wymawiała imienia mego, gdyż daję ci możność zaspokojenia najmniejszych życzeń. Idź, moja córko tam, gdzie cię zapał unosi. Poznaj osobiście i bez żadnych osłonek to, o czem różowo marzyłaś. Zbadaj dokładnie kształty przedstawiające się czarodziejsko w twej wyobraźni, zobacz na jawie wcielenie snów twych złocistych. Pamiętaj jednak, Anusiu, o motylu opalającym swe skrzydła za zbytecznem zbliżeniem się do światła. Jasne, gorące płomienie nietylko służą do ogrzewania, ale palą też objąwszy nierozmyślną ofiarę, jaka bez pamięci chciała się skąpać w ich blaskach. Niedokładne obrachowanie sił swoich, sprowadza podobne następstwa. Należy się więc wystrzegać szalonego biegu w przewidywaniu celu nieokreślonego wyraźnie. Rozpalona głowa, puszczona luźno fantazya, może się łudzić długo i ostateczny koniec zaznaczyć rozczarowaniem, lub co gorzej boleścią. Zawsze, Anusiu, radź się pilnie rozumu, nie przebieraj miary w niczem, bo jedno tylko umiarkowanie zdolne jest utrzymać nas w granicach równowagi, tak niezbędnej dla spokoju ducha i pogody umysłu. Jeśli nadejdzie chwila, w jakiej zapragnęłabyś przytulić się do mego łona, odetchnąć pod wiejską, rodzinną strzechą, daj znać mi o tem bezzwłocznie.

— O! mamo, dlaczego mówisz mi tyle rzeczy nie mających, żadnej styczności z tą wesołością, panującą w mem sercu?

Mama bez odpowiedzi na to pytanie, ucałowała mnie gorąco, kreśląc krzyżyk nad głową.

— Wando — mówiła w chwilę potem do ciotki — zostawiam ci mój skarb najdroższy.

— Ależ Zosiu — odpowiedziała ciotka. — Przecież Wólka to nie Europa i Ameryka. Możesz być o Andzię tak spokojną, jakbyś ją miała przy sobie.

— Horciu, bądź dobrą dla mojej Andzi — rzekła znów mama.

— Cioteczko! — zaśmiała się kuzynka — nigdy i nikomu nie wypowiadam pierwsza wojny.

A baron. O tym nie ma co wspominać, gdyż jak się zdaje, był on podrzędną osobą w swoim domu. Grzeczny, uprzejmy, łaskawy dla wszystkich, nie okazywał się wymagającym. Większą część dnia przepędzał na mieście, gościem prawie był w domu, gdzie najwyższą władczynią, panią życia i śmierci, piastując berło nieograniczonej mocy, panowała baronowa.

Mąż uwielbiał na ślepo prawie to wszystko, cokolwiek pochodziło z rozporządzenia jej; odgadywał spojrzenia, uprzedzał myśli, czyli jednem słowem, był to najwierniejszy poddany.

Od chwili wyjazdu mamy, życie nie uległo stanowczej zmianie. Najpierw z rana przechadzka po magazynach, za powrotem do domu przyjmowanie gości, następnie obiad, a wieczorem wizyty. Jak sen prysnęła przedemną cała przeszłość. Z chwil teraźniejszych zaledwie mogłam kiedy niekiedy zdać pobieżne, krótkie sprawozdanie mojej matce. Całe te listy odznaczały się takim bezładem, takim natłokiem myśli, jak to miało miejsce z obecnym nastrojem mego ducha.

Pan Witalis bywał dość często u baronostwa. Wiele razy rozległ się dźwięk dzwonka, zwiastujący jego przybycie, doznawałam czegoś niepojętego dotąd dla mnie. Dlaczego z pomiędzy rozlicznych uderzeń dzwonka tylu innych osób, ten jeden wywoływał wstrząśnienie. Nie umiałam tego wytłomaczyć.

A on? On nie wyróżniał mnie z grona innych panien. Nie zwracał uwagi na przelotną bladość, albo rumieniec, nie śledził wrażenia wywieranego przez siebie.

— To naturalne — myślałam. — Jakżebym ja, wiejska gąska, mogła mu czemkolwiek zaimponować, lub przynajmniej zająć? On taki piękny, jakiś świetny, jakiego nigdy jeszcze nie widziałam.

Niemałe także miejsce w mych myślach zajmowało staranie, aby stanąć na równi ze znajomymi Horci. Przejmowałam zwolna ich szyk wielkoświatowy, salonowy sposób ułożenia. Nie były mi już trudne do naśladowania maniery ich, gesta nawet. Z początku, gdy bawiły się mną, jak lalką, Horcia zaraz protestowała z uśmiechem.

— Dajcie jej pokój, to taki wiejski, skromniutki fiołek.

— Musimy go też podnieść do perfekcyi zajmowania miejsca w bukiecie oranżeryjnym — mówiła jedna.

— Wyrobi się ona wyrobi — dodawała druga— jak tylko pozna, że w salonach wielkich zebrań nie szafuje się bezpotrzebnie falami rumieńców, okazywaniem nazewnątrz tego, co powinno być ukryte wewnątrz tylko.

— Przekona się sama — dodawała trzecia — że po ślizkich posadzkach trzeba się leciuteńko, ostrożnie, a zręcznie przesuwać, że najmniejsze potknięcie, najmniejszy ruch niewłaściwy nie ujdzie uwagi patrzących i niekiedy dość małoznacznego rozminięcia się z przyjętym konwenansem, aby na zawsze przepaść w opinii publicznej. Nierozważny, ktoby wierzył stanowczo pozornej szczerości naszego towarzystwa. Pozory są tu często wszystkiem.

— Ludzie z naszej arystokratycznej sfery — kończyła Horcia — nie pytając co się dzieje w duszy, pragną koniecznie dla dobrego tonu, zachowania wszelkich form towarzyskich, w jakiej by to nie było chwili. Serce może płakać, ale niech usta zakwitają uśmiechem. Czasem ludzie, którzy się nienawidzą, nie patrzą na siebie w przedpokoju, muszą w salonie podać sobie ręce. Cóż komu do uczuć prawdziwych? Prawda jest zbyt cenną perłą do łączenia jej w naszyjniku, złożonym z mieniących błyskotek imitacyi.

Z wytężoną ciekawością przysłuchiwałam się takim rozmowom. Otwierały mi one zupełnie nowe zakresy w dziedzinie życia. Szczególniej też Horcia, każdą rzecz w rozmowie umiała przybrać w taką wykwintną, kunsztowną formę, na jakiej mi zawsze zbywało. Każdy jej gest, każde słowo przedstawiało się w niepospolitym, niezużytym sposobie. Wierne jej odbicie pod tym względem stanowił Witalis. Byli podobnymi do siebie na wielu punktach i czy mam wyznać, że mi to było bardzo niemiłe? Nieokreślone, dziwnie niepokojące uczucie ogarniało mnie, ilekroć razy widziałam ich razem. Jednocześnie np. powzięli myśl urządzenia koncertu na korzyść biednych studentów. Kuzynka okazała wiele sprytu w obmyśleniu tego planu. Dom jej ojca znany w całej Warszawie, mógł rachować śmiało na ściągnięcie licznego zastępu publiczności, liczniejszego może nawet, niż w miejscach wyłącznie ku temu przeznaczonych. Jedni w celu zawarcia znajomości, drudzy dla samego zaszczytu, inni jeszcze przez ciekawość, będą się tłumnie cisnęli na progi bogatego giełdowicza, którego popularność i szczęśliwe pieniężne obroty słynęły.

Artyści sławni, uczęszczali doń także. Na Hortensyi i Witalisie polegała sztuka skłonienia tychże do łaskawego produkowania talentów. Nie brakuje wprawdzie w Warszawie zabaw na cele dobroczynne, ale baronówna chciała koniecznie przysporzyć grosza, pomnożyć ofiarność, otrzeć niejako swoją dłonią gorzkie łzy nieszczęśliwych. Na pochwałę obojga młodych inicyatorów mogę powiedzieć, że najwięcej łączyło ich wspólne posiadanie miłosierdzia i szlachetności. Kareta Hortensyi zatrzymywała się nieraz w zaułkach zamieszkanych przez nędzę, wstydzącą się publicznie potrząsać swymi łachmanami, Witalis znów nie uchylał się ztamtąd, gdzie jego protekcya, zachęta lub w ogóle możność czynienia dobrze, mogła wydać pożądane rezultaty. Czy on to czynił idąc niejako śladem Hortensyi, czy też dzięki popędom wrodzonym może wreszcie dla rozgłosu swego nazwiska, dość że było to zacne i chwalebne.

Nadszedł dzień koncertu. Dnia tego, Hortensya stanowiła prawdziwie duszę całego mieszkania. Niezwykle ożywiona, przesuwała się tu i owdzie, mając wszędzie coś do powiedzenia, do rady, gustu, rozkazów wyrażonych tak łagodnie a stanowczo, że nie podobna było nie wysłuchać.

Kilka wielkich salonów ozdobiono mnóstwem krzewów, kwiatów, co przypominało śliczne, wonne cieplarnie. Lokaje uginali się pod wielkimi wazonami najrzadszych okazów Flory, Hortensya i Witalis na wyścigi dopomagali w urządzaniu wszystkiego. O mnie zapomniano prawie. Z początku krzątałam się na równi z innymi, ale ilekroć razy ręce Witalisa obojętnie i mimowoli dotknęły mych rąk przy podawaniu albo przenoszeniu czego, ilekroć razy zwrócił się do mnie z jakiem uprzejmem słowem, gdy zatrzymał wzrok,

obdarzył uśmiechem, już robiło mi się gorąco, ogarniało zmieszanie i robota nie szła.

— Ależ, panno Anno — mówił wówczas wesoło — jaka pani roztargniona. Zamiast heliotropu, postawiła pani azalje, czego artystyczny zmysł panny Hortensyi, nie przebaczyłby nigdy. Wprawdzie byłbym gotów postąpić po rycersku i całą winę pani przyjąć na siebie, ale w razie częstych nadużyć któż wie czybym wytrwał.

— Anusia stoi przed panem niby przed inkwizytorem, oczy spuszczone, twarz blada — ozwała się ze śmiechem Hortensya.

Siląc się także na uśmiech, spojrzałam na nich, ale nie byłabym mogła przemówić ani słowa. Czułam się upokorzoną, chociaż sama nie wiedziałam z czego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Nigdy jeszcze na polu francuzkiej literatury powieść nie rozkwitła tak bujnie jak w ostatnich latach, ale i któż nie wie, że większa część tych kwiatów jaskrawych kolorytem, ponętnych formą, odurza zmysły czytelnika, psuje smak, mąci zdrowe pojęcia prawdy.

Minęły czasy, kiedy obrazy z życia podniesionego do idealnych wyżyn, budziły zapał w czytającej publiczności. Przeczuł nasz Fredro dzisiejszy zwrot w umysłach, kiedy w Ślubach panieńskich; przez usta Papkina, wygłosił swą humorystyczną tiradę. Za czasów jego, panienki poprzestawały jeszcze na śpiewających kanareczkach, wnuczki ich dopiero miały zapragnąć krokodylów. Powieściopisarze stosując się do panującego smaku, rzucają też krokodyle na pokarm czytelnikom. Nie mało tych potworów wylęgło się w wyobraźni Emila Zoli i innych koryfeuszów naturalistycznej szkoły, jak gdyby przyroda z której czerpią, same tylko rodziła krokodyle.

Z nowych powieści wspomnijmy jedną, która w tych czasach niesłychany znalazła rozgłos, dość powiedzieć, że dziś gdy to piszemy, ukazuje się w sześćdziesiątem wydaniu (każde złożone z tysiąca tomów). Powodem tego zaciekawienia, że powieść dotknęła żywych osobistości i rzuciła śmieszność na najpoważniejszą instytucyę naukową. Mówimy tu o powieści Alfonsa Daudet, pod tytułem „L'Immortel" (Nieśmiertelny). Jest to złośliwy paszkwil na Akademię Francuzką; osnowa rzeczy wymyślona. Odkąd trzy wieki temu kardynał Richelieu, ustanowił naukowe ciało, żaden jego członek nie zakończył życia samobójstwem, nie utopił się w Sekwanie, jak zmyślony bohater Daudeta. Szczegóły za to wzięte z rzeczywistości, Paryż cały pamięta jak kilkanaście lat temu, uczony jeden Akademik, wpadł w ręce jakiegoś oszusta i zakupił od niego na wagę złota rękopisy i autografy, sięgające króla Salomona, a podobno i przedhistorycznych czasów. Ten fakt świadczący o niedołęstwie zagorzałego bibliomana, wziął autor za główny węzeł sarkastycznej powieści. Nie będziemy wchodzić w szczegółowy jej rozbiór; powiedzmy tylko, że jeśli książka rozśmieszyła na chwilę Paryżanów, wywołała za to ostrą krytykę i obudziła niesmak.

Do najwstrętniejszych obrazów, należy tu pogrzeb starego Akademika i defilada za trumną kolegów, „tych żywych nieboszczyków, powykrzywianych jak zmurszałe drzewa, z ołowianemi nogami, mrugającemi oczami, grzbietem pochylonym i ręką wyciągniętą naprzód, jakby macali drogę." Zapomniał autor, że ci starcy pochyleni wiekiem, z okiem zgasłem wśród pracy umysłowej, byli w swoim czasie i są po dziś dzień chwałą narodu swego.

Niemniej wstrętny obraz owych kandydatów, co jak kruki złaknione żeru, wietrzą trupa wśród żywych i wyglądają rychło śmierć zamknie oczy jednemu z grona, aby zająć czemprędzej jego miejsce.

Nieraz już Akademia była przedmiotem szyderczych pocisków ze strony tych, którzy nie zdołali przedrzeć się w zamknięte jej progi. Sarkazmy te przypominają bajkę Lafontaina o lisie, co nie mogąc dosięgnąć winogron, pociesza się myślą, że były cierpkie i niedojrzałe. Nikt jednak z takim jak Daudet nie wystąpił cynizmem. Łatwo pojąć jak żywo Akademicy odczuli zniewagę, zamknęli się jednak w pełnem godności milczeniu. Głos publiczny wystąpił za to w ich obronie.

Nigdy w rzeczy samej, Akademia Francuzka, nie okazała większej siły żywotnej i nie rozwinęła na szerszą skalę swej działalności, jak w obecnych czasach. Ona to stoi na straży języka, odrzucając lub przyjmując nowo wprowadzane wyrazy i zwroty mowy, a przyjęte zapisując w wydawanym przez siebie słowniku; ona to odczytuje setki dzieł nadsyłanych co rok na konkursa, których liczba mnoży się w zadziwiający sposób; ona rozdaje medale i nagrody, wynoszące do stu tysięcy franków rocznie, ona wynajduje, sądzi i rozgłasza przed światem, czyny prostaczków, dochodzące częstokroć do bohaterstwa i odznacza je konkursowym zapisem Manthion'a i dobroczynnych jego naśladowców. Oprócz tych prac zbiorowych, obowiązujących całe grono, członkowie Akademii pracują wytrwale, każdy na swojem polu.

Rzućmy tylko okiem na historyczne prace: książę Aumale wydaje właśnie piąty tom znakomite publikacyi, historyi Kondeuszów. Książę Broglic, autor pomnikowego dzieła o Fryderyku II i Maryi Teresie, prowadzi dalej badania nad dziejami ośmnastego wieku. Gaston Boissier, profesor w kollegium francuzkiem, wydaje studya historyczno-literackie nad Cyceronem, Wirgillim, Horacym i świętym Augustynem. Wiktor Durny, autor wielkiej historyi starożytnego Rzymu, pracuje obecnie nad historyą starożytnej Grecyi. Admirał Jurixa de la Graviere, do licznych dzieł o marynarce z czasów najdawniejszych, dodał świeżo historyą Cypru i obraz bitwy pod Lepantlen. Rousset wykończa dzieło o podbiciu Alegryi. Legouvé wydaje ciekawe wspomnienia z lat sześćdziesięciu przeżytych w świecie literackim. Maksym Du Camp spisuje dzieje Paryża, pokazawszy w pierwszych tomach wewnętrzne jego rany, w dalszych odwrócił stronę medalu i z innej strony daje poznać gród, przezwany przez wielu Babillonem. W świeżo wydanym tomie p. t. „Paryż dobroczynny", bada pod względem moralnym i materyalnym niezliczone instytucye: szpitale, domy przytułku, towarzystwa zajmujące się dostarczaniem pracy robotnikom i t. p. Na polu dramatycznem: Wiktoryn Sardou, Aleksander Dumas, Pailleron, Oktawiusz Feuillet i Meillac, zasilają bezustanku scenę paryzką utworami, które rozbiegają się po całej Europie, Franciszek Coppeé utworzył nowy dramat, wystąpi z nim w jesieni na deskach Odeonu. W powieści błyszczą dwaj mistrze: Wiktor Cherbullier i Halevy, sympatyczny autor „Księdza Konstantego". W poezyi zbiera oklaski Lully Prudhomme. W dziedzinie ekonomii przewodniczy Juliusz Simon; na wszystkich zebraniach publicznych porywa serca pełną żaru wymową. Na polu nauk ścisłych dość tu wspomnieć imię Pasteura, liczonego słusznie do dobroczyńców ludzkości. Wreszcie niezmordowany Lesseps rozkopuje międzymorza i łączy Oceany. Trudno zaprawdę obwiniać akademików dzisiejszych o pedantyzm i gnuśną bezczynność.

(Dokończenie nastąpi.)

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Helena ścigała ją wzrokiem, podziwiając jej zgrabne ruchy, zręczną i kształtną kibić i wyniosłą postawę, a gdy Dianna znikła jej z oczu zwróciła się do Emilii:

— Więc to jest ta sławna pani Olifaunt, o której państwo tak często mówicie — rzekła.

— Tak, moja droga, to piękna Dianna we własnej osobie, małżonka sir Jamesa Olifaunt, baroneta.

— Dlaczego ona przez kilka minut tak uporczywie przypatrywała się mnie i panu Ludwikowi.

— Dlatego, że zna dzieje twego życia i wie, że pani Hérault kocha cię jak córkę.

Gwałtowny rumieniec wystąpił na twarz Heleny.

— W oczach jej wyczytałam nienawiść — odparła przecząco wstrząsając głową. — Jestem ubogą, skromną dziewczyną a ona wielką panią, piękną i bogatą, dlaczego więc miałaby mnie nienawidzieć?

— Widzisz, moja droga, bywają usposobienia, które za nic mają własne szczęście i cenią tylko cudze — objaśniła ją Emilia. — Zazdrość zatruwa im każdą uciechę i wtedy chyba tylko byłyby zadowolone, gdyby wszyscy wokoło nich czuli się nieszczęśliwemi, a one same tylko opływały w rozkosze. Dianna ma właśnie podobny charakter. Zobaczywszy cię spokojną, wesołą, otoczoną kochającemi cię osobami, zapomniała o swojej spokojności, wesołości i licznym orszaku wielbicieli. Dość jej było jednej chwili, aby cię znienawidzieć, gdyż odgadła, że jesteś szczęśliwą.

— I nie omyliła się wcale — rzekła Helena wzruszonym głosem — może mnie nienawidzieć, gdyż w istocie jestem bardzo szczęśliwą!

Ludwik słysząc to o mało nie padł przed nią na kolana, chciał ją chwycić za rękę i wyrazić jej radość jaką sprawiły mu jej słowa, lecz surowe spojrzenie Emilii powstrzymało go w zapale. Milcząc więc poszedł za tą, która zdawała się wieść go ku spokojnej, uśmiechniętej przyszłości a serce jego napełniło się błogiem zadowoleniem.

Tymczasem pani Olifaunt wsparta na ramieniu Klemensa, szła przez salony nie zwracając uwagi na malowidła, nie szukając nawet w tłumie znajomych twarzy. Zamyślona zstępowała po kamiennych schodach, dopiero znalazłszy się w powozie rzekła oschle do swego towarzysza:

— Więc to do tej panny do towarzystwa ten głupiec Ludwik zaleca się we własnym domu? W samej rzeczy dość gładka buzia i pojmuję, że pani Hérault jest oczarowana. Mieć kochankę w domu... ależ to marzenie wszystkich matek!... Tym sposobem drogie dziecię nie oddala się od domowego ogniska i miłość zamiast go wprowadzać na manowce, umoralnia go jeszcze.

Byłaby zapewnie dalej potokiem słów gniewnych przynosiła ulgę wzburzeniu, które nią miotałogdyby Thauziat nie odezwał się dotykając z lekka jej ramienia:

— Panna de Graville jest najuczciwszą kobietą i będę ci nieskończenie wdzięczny jeśli nie będziesz o niej mówić w obec mnie.

Słowa te objaśniły dostatecznie Diannę.

— Jakaż ja głupia! — zawołała uderzając parasolikiem w dłoń drugiej ręki. — Teraz już rozumiem wszystko, kochasz pannę de Graville i jesteś rywalem Ludwika Hérault! Nigdybym jednak nie przypuściła tego, Klemensie.

Thauziat milczał a twarz jego nie zdradzała najlżejszego wzruszenia tylko zaciśnięte palce między kurczowo zdjęte przed chwilą rękawiczki.

— Cóż to za tryumf dla tej młodej osoby, że potrafiła rozbudzić miłość w serce pięknego, niezwyciężonego Thauziat—ciągnęła dalej Dianna. — Ale czy podobna, aby nie była ci wzajemną?

— Nigdy nie powiedziałem jej jednego słówka, które kazałoby się domyślać, że ją kocham...

— „Że ją kocham" — powtórzyła Dianna. — Słowo kocham dziwnie brzmi w twoich ustach jeśli odnosi się do kogo innego nie do mnie, Klemensie. Robi mi to przykrość niezmierną, nie taję tego wcale.

— Czy jesteś zazdrosną jednocześnie o mnie i o Ludwika? — spytał z wymuszonym uśmiechem Thauziat.

— Mówiąc prawdę, to panna nie bardzo mi się podoba i pojąć nie mogę co w niej widzicie tak powabnego... I ty tajemnym zapłonąłeś ogniem, jakie to romantyczne, jakie rozczulające... No, no, żeby też taki praktyczny człowiek dał się tak opłątać w sidła, to nie do uwierzenia!... Ależ, mój biedny Klemensie, od dwóch tygodni wyglądasz jak z krzyża zdjęty... Chciałabym z całej duszy przynieść ci jaką ulgę; jeśli chcesz pójdę do pani Hérault poprosić dla ciebie o rękę tej czarującej piękności. Mogę nawet w razie potrzeby odgrywać rolę matki przy twoim ślubie, na świadków wezwiemy Lereboulleya i sir Jamesa. Jakby to było pięknie!

— Nie żartuj, Dianno, to rzecz zbyt poważna.

— Przecież mówię ci o małżeństwie, a cóż może być bardziej poważnego? Czy nie masz ochoty się żenić? Czegóż więc chcesz, mój drogi?

— Pragnę zapomnieć, gdyż po raz pierwszy w życiu nie jestem panem mej woli — odparł zwolna Thauziat. — Znasz mnie dobrze, rozumiesz więc co cierpię. Co wart mężczyzna, który powoduje się tylko sercem? Do tej pory słuchałem jedynie rad rozumu... więc i teraz chcę zmusić serce do posłuszeństwa... Odjadę...

— Mój drogi — rzekła Dianna — oddalenie może wyleczyć z kaprysu, ale podnieca jeszcze prawdziwą namiętność.

— Jeśli rozdział będzie dla mnie zbyt bolesny, powrócę, a wtedy uczynię wszystko co będzie w mej mocy dla pozyskania tej, którą kocham.

— A jeśli ona kocha kogo innego?

— Nie życzę tego ani ze względu na nią, ani ze względu na jej ukochanego.

— Tak to rozumiem! Poznaję teraz zwykłą twoją energię, Klemensie!

Klemens nic nie odpowiedział. Dianna wtulona w kącik powozu, puściła wodze własnym myślom a wyobraźnia przedstawiała jej postać Ludwika skruszonego i błagającego o przebaczenie. Z dziką radością lubowała się nadzieją, że potęgą swych wdzięków pokonawszy Ludwika, uczyni zeń swego niewolnika i zemści się na nim za doznane upokorzenie.

VI.

Boissise od czasu, gdy pani Hérault zamieszkała w niem, żeby się nie rozłączać z Ludwikiem, upiększono i urządzono bardzo wygodnie. Naokoło pałacyku rozciągał się obszerny park, w pośród ślicznej, szmaragdowej łączki, dotykającej do lasu wykopano jezioro. Na wyspie, na szczycie wysokiego przylądka, z pomiędzy zieleni drzew strzelały w górę białe kolumny jakiejś świątyni, zbudowanej w starożytnym stylu. Cieniste szpalery krzyżowały się w różne strony, umiejętnie przeprowadzony gaz oświetlał je wieczorami. Wszędzie sztuka łączyła się z naturą, tworząc z ładnej miejscowości prawdziwie urocze schronienie.

Przed gankiem roztaczał się śliczny ogród w guście francuzkim, każdy kląb zdobił w środku olbrzymi kosz z którego wznosił się wysoki, żelazny łuk, opleciony pnącemi różami, w rogach ostrosłupy, wysokie na cztery metry, ozdabiały tysiące doniczek z kwitnącemi ponsowo geraniami. Brzegi kląbów otaczały krzewy azalei szczepionych umiejętnie tak, że wydawały białe i różowe kwiaty na jednym krzaku. Obszerne stajnie mogły pomieścić dwadzieścia koni a bażantarnia zasilała obficie lasek podczas jesiennego polowania.

Od śmierci Piotra Hérault nikt prawie nie mieszkał w Boissise, służba jednakże i utrzymanie pałacu zawsze były w porządku. Co rok na wiosnę ogrodnicy urządzali z największem staraniem park, zdobili najpiękniejszemi roślinami i kwiatami dywanowe klęby, strzygli trawniki i skrapiali je starannie. Każdego lata strzelcy i strażnicy leśni hodowali mnóstwo kuropatw, przepiórek i bażantów. Wszystko było więc gotowe na przyjęcie właścicieli, którzy jednak bardzo rzadko odwiedzali Boissise. Jesienią, gdy rozpoczynało się polowanie, Ludwik przyjeżdżał na wieś ze swemi przyjaciołmi i zabawiwszy z tydzień uciekał czemprędzej do Paryża i znów rok cały nie zaglądał do swej posiadłości.

Przebywanie w tym zamku sam na sam tylko z babcią, wydawało się nieznośnem dla młodego człowieka, Lereboulley mieszkający przez dwa miesiące w sąsiedztwie nie był dlań także wystarczającem towarzystwem. Ludwika nie zajmowały tak jak senatora kombinacye polityczne, nad któremi ten ostatni potrafił rozmyślać całemi tygodniami. Nie pracował również nad utrzymaniem popularności, nie marzył o wpływie w departamencie i o uzyskaniu wielu głosów na zbliżających się wyborach. A kiedy wieczorem nie mógł być w teatrze lub w klubie, albo w wesołem kółku przyjaciół i przyjaciółek, dnie wlokły się dla niego żółwim krokiem i po tygodniu takiego życia dążył do stolicy przesycony ciszą wiejską, znudzony widokiem pól i tajemniczym szeptem lasu, z rozkoszą witając gwar wielkiego miasta.

Dopiero spotkawszy pannę de Graville na wsi, Ludwik odkrył mnóstwo przyjemności w Boissise o jakich przedtem nie miał wyobrażenia. Teraz nie nudził się bynajmniej, samotność nie była dlań przykrą, gdyż zaludniały ją marzenia o przyszłości. W towarzystwie Heleny zwiedził ogród, sad warzywny, zabudowania dworskie i zajmował się wszystkiem, coby go dawniej nie zaciekawiało wcale. Helena do lat szesnastu wychowana na wsi, znała się doskonale na uprawie roli i hodowaniu zbóż a umiejętność jej wzbudzała podziw w Ludwiku, który do tego stopnia był mieszczuchem, że nie umiał na polu odróżnić żyta od owsa. W oczach tego Paryżanina panna de Graville zaczęła uchodzić za cud doskonałości. Po kilku dniach pobytu na wsi, Ludwik odezwał się z zapałem do babki:

— Zadziwiająca istota z tej panny de Graville! Ona wie wszystko, rzadko można spotkać osobę tak wysoko wykształconą.

Babka nie zaprzeczała mu bynajmniej, gdyż i ona podzielała zdanie Ludwika, że Helena była uosobieniem cnót i przymiotów. Widząc zajęcie wnuka gospodarstwem, zaprowadziła go do cieplarni, lecz Ludwik znudził się, słuchając opowiadań babki. Powiedział sobie w duchu, że ogrodnictwo nie jest bynajmniej zabawną rzeczą a uwagi o hodowaniu kwiatów, nabierały dla niego tylko wtedy wartości, jeśli je pewne wypowiadały usta. Wczoraj naprzykład zachwycał się więcej jak godzinę lewkoniami i pachnącemi groszkami, które pięły się około pni drzew na podwórzu folwarcznem, a dziś ziewał w cieplarni mieszczącej rzadkie okazy storczyków, z których każdy wart był najmniej dwa tysiące franków. Obojętnem okiem spoglądał na wspaniałe, potwornych kształtów kwiaty, napełniające powietrze czarowną wonią. Przekonał się więc, że jedyną dla niego przyjemnością było przebywanie w towarzystwie Heleny i że przechadzki nabierały powabu tylko wtedy, gdy mógł rozmawiać z nią swobodnie. Obecność osoby trzeciej choćby nią była własna babka, krępowała Ludwika i nie pozwalała Helenie ukazać się w całym wdzięku swej szlachetnej prostoty.

Panna de Graville odetchnąwszy powietrzem pól i lasów do którego nawykła od dzieciństwa, stała się inną zupełnie istotą a piękność jej teraz dopiero rozwinęła się w całym blasku. Lica pobladłe przedtem od nieustannej pracy w dusznym, ciasnym pokoju, nabrały gorętszej barwy, a oczy jaśniejszym zapłonęły blaskiem. I nietylko pod względem powierzchowności ale i w usposobieniu Heleny zaszła zmiana. Przedwczesne zmartwienia i troska o byt, przyodziały ją w powagę nieodpowiednią wiekowi; teraz swoboda wróciła jej wesołość i Helena odżyła jak krzew, zwarzony zimowem wichrem, któremu wreszcie zabłyśnie wiosenne słońce. Usta jej rozchylały się wdzięcznym uśmiechem a chłód obejścia zastąpiła szczera, niewymuszona wesołość.

Młoda dziewczyna czuła się obecnie zupełnie szczęśliwą, a świadomość tego szczęścia czyniła ją codzień powabniejszą. Pani Hérault i Ludwik z zachwytem patrzyli na to przeistoczenie Heleny,

przypisując sobie całą zasługę tej korzystnej zmiany. Poczciwa staruszka z iście macierzyńskiem zadowoleniem spoglądała na zręczną kibić dziewczęcia, która z każdym dniem nabierała więcej wdzięku i elegancyi w ruchach. Ludwik był oczarowany gruntownem wykształceniem, trafnością sądu i żywością wyobraźni Heleny, która wyzwoliwszy się z troski o chleb powszedni, olśniewała wszystkich niepospolitym umysłem.

Po kilku dniach zjawiła się w Boissise Emilia Lereboulley, która przyjechała z ojcem do Évreux. Po jej przyjeździe ożywiło się nieco w Boissise, Emilia namawiała Helenę i Ludwika na dalekie spacery, które odbywali razem w małym powoziku panny Lereboulley, zaprzężonym w wytrwałego irlandzkiego konika. Pewnego dnia pojechali zobaczyć ową pamiętną drogę na której Emilia po raz pierwszy spotkała się z Ludwikiem; innym razem zwiedzali ruiny opactwa Saint-Wulfrand. Wszyscy troje byli weseli i zbytkowali jak uczniowie na wakacyach. Rozkoszowali się ciszą leśną, którą w południe przerywał tylko żałosny krzyk kukułki lub sójki zestraszonej z pomiędzy krzaków. To znów przechadzali się w cieniu drzew w milczeniu, a serca ich przepełniała taka błoga radość jakby rozmawiali o najprzyjemniejszych rzeczach. Gdy wreszcie znużeni usiedli po nad rowem u stóp jakiego starego dębu i gdy Emilia z Heleną podziwiały grę promieni słonecznych przedzierających się przez gałęzie, Ludwik godzinami całemi wpatrywał się ukradkiem w Helenę i ogarniała go wtedy nieprzezwyciężona chętka rzucenia się przed nią na kolana i wyznania uczuć przejmujących nieznanem wzruszeniem całą jego istotę.

— Uwielbiam cię najdroższa, bądź moją! — chciał wołać — z rozkoszą poświęcę ci życie całe, które spędziemy w upojeniu miłosnem!

Lecz jego niezdecydowany charakter i obawa zmącenia harmonii tego uroczego spokoju, jakim cieszyli się wszyscy, powstrzymywały go od wyznania.

— Po co mam się śpieszyć — mówił sobie znowu — czyż nie mam dosyć jeszcze czasu? Nie wiem czy mógłbym być szczęśliwszym, gdyby Helena została już nawet moją żoną? Większego zadowolenia nie doznam chyba nigdy w życiu.

W istocie miłość jego była wzniosłem, czystem uczuciem do którego nie mieszały się żadne ziemskie pragnienia. Spoglądając na młodą dziewczynę, uczuwał coś nakształt serdecznego braterskiego przywiązania, połączonego z uwielbieniem, Helena nie obudzała w nim zmysłowych marzeń. Mógłby dzień cały samotnie błąkać się z nią po lesie i noc spędzić w chacie drwala a na myśl by mu nie przyszło przyciągnąć ją choćby w objęcia. Na samo przypuszczenie, że mógłby ją postradać, że ktoś inny a nie on doznawałby tych moralnych rozkoszy, opanowywała go rozpacz.

Obecność Heleny stała się teraz niezbędną potrzebą jego życia a jednak nie miałby siły walczyć o pozyskanie jej serca. Majestat dziewictwa jakim promieniała cała jej osoba, onieśmielał Ludwika; uważał ją jak boginię, do której zwykli śmiertelnicy powinni zbliżać się z uszanowaniem. Miłość jego opierała się więc na szacunku, jakiego nigdy nie doznawał w obecności młodej i ładnej kobiety, a szacunek ten powstrzymywał go od wyznania miłości.

Trudno jednakże być bardziej skromną, wesołą i uprzejmą jak panna de Graville. Chłód jej, który był wynikiem samotnego życia, znikł zupełnie a obejście jej z Ludwikiem odznaczało się prostotą i wdziękiem. Uważała go jak towarzysza i brata i miała dlań pewne względy jako dla wnuka tej dla której najżywszą uczuwała wdzięczność. Dawne jej marzenia i obecna rzeczywistość splotły się razem, budząc w jej sercu jakieś rzewne, słodkie uczucie. Dla niej był to zawsze ten młodzieniec blady i delikatny, który przechodził przez dziedziniec pałacowy z krepą na kapeluszu i którego ścigała wzrokiem pełnym łagodnego współczucia. Ludwik pod względem powierzchowności nie zmienił się wcale, taż sama powolność w ruchach, tenże sam wdzięk kobiecy niemal w obejściu i tęskne spojrzenie. Bliższe poznanie utwierdziło Helenę w powzięte o nim wyobrażeniu; przekonała się, że Ludwik jest człowiekiem słabego charakteru, łatwy do zawojowania lecz zdolny także posunąć się do gwałtowności skoro by tylko czuł jakieś poparcie. Młoda dziewczyna przeczuwała, że Ludwik potrzebować będzie w życiu wsparcia i obrony, aby nie padł ofiarą ludzi złych lub głupich.

Słysząc ciągle o fabryce i zakładach w Saint-Dénis, Helena zrozumiała wkrótce jak poważne miejsce Ludwik powinien był zajmować między przemysłowcami i dziwiła się w duchu, że przez obojętność lub lekceważenie powierzał kierownictwo swych interesów ludziom obcym. I zaiste trudno pojąć, aby syn zdolnego przemysłowca nie odziedziczył choć w części energii ojca i nie pragnął sam w ruch wprowadzić. wszystkie sprężyny tak rozległego przedsiębierstwa, zamiast pędzić życie bezczynne i gnuśne.

— O! gdybym ja była mężczyzną — mówiła sobie w duchu Helena — i gdyby mnie w udziale przypadła praca podobna, z jakiem zamiłowaniem, z jakim zapałem poświęciłabym jej wszystkie zdolności mojego umysłu!

Nieraz w delikatny sposób mówiła o tem z Ludwikiem i dawała mu do zrozumienia jak nagannem było jego postępowanie, lecz czyniła to tak oględnie, aby go nie obrazić, ani mu nie ubliżyć wyrażając zbyt jasno myśl swoją. Usiłowała tylko podniecić go i zachęcić do pracy, jednem słowem obudzić w nim iskierkę zapału do szlachetnej pracy.

— Pierwszą cnotą człowieka jest pracowitość — rzekła doń pewnego dnia, gdy razem z Emilią gawędzili to o tem, to o owem. — Cóż wart człowiek, który nic nie robi?

Ludwik odparł z uśmiechem:

— Człowiek, który nic nie robi, używa przynajmniej swobodnie życia, chodzi po lasach, odpoczywa w cieniu, gdy jest znużony, a wieczorem rozmawia z panią, panno Heleno. Taki człowiek może nazywać się szczęśliwym.

— Ale czy jest także człowiekiem użytecznym?

— Użytecznym i bardzo nawet, ale tylko dla samego siebie — sprzeciwiał jej się Ludwik.

— Czy pan sądzi, że przekonanie takie wystarcza do szczęścia.

— To zależy od pojęcia i upodobania.

— Przypuśćmy, panie Hérault, że jesteś zupełnie ubogim człowiekiem, cóżbyś robił wtedy?

— Starałbym się tak jak wielu innych o jak najprędsze zebranie majątku, lecz szczęśliwym trafem mój dziad i mój ojciec pomyśleli już o tem przedemną.

— A jednak niedbasz, pan, o utrzymanie w całości dziedzictwa, które ci oni przekazali... zapominasz chyba o tej zasadzie, że skoro majątek nie wzrasta, to go z pewnością ubywa. Zdanie to wygłosił niedawno pan Lereboulley, a on zna się wybornie na takich kwestyach, możnaby więc mniemać, że dobrowolnie chcesz dążyć do ruiny.

— Odziedziczony majątek wystarczy aż nadto dla mnie... Ah! gdybym to ja z kolei stał się ojcem rodziny i miał spadkobierców, możebym wtedy zmienił zdanie i inaczej zapatrywał się na to wszystko!... Ale dla kogóż ja się będę męczył? Nie pracowałbym nigdy przez samo zamiłowanie do pracy; trudzić się dla ukochanej istoty, dla kobiety lub dziecka, to pojmuję, ale męczyć się jedynie przez chęć zysku, tego nie uczyniłbym nigdy!

Emilia z ironicznym uśmiechem przerwała tę maleńką sprzeczkę.

— Mój Ludwisiu — rzekła — jesteś wprawdzie spadkobiercą nazwiska i majątku Hérault, ale bynajmniej zdolnościami nie przypominasz ani dziada, ani ojca i obawiam się, abyś nie skończył na słomie, chyba kochany przyjacielu, że cię jaka opiekuńcza dłoń powiedzie przez życie. Zresztą zastanowiwszy się głębiej, zdaje mi się, że może byłoby o wiele moralniej i właściwiej, aby te olbrzymie wory złota jakie posiadasz, chociaż nie pracowałeś na nie w pocie czoła, przeszły w ogólne posiadanie tych, którzy ciężko zarabiają na chleb powszedni i żyją jak ptaki z dnia na dzień... Już widzę jak z oburzeniem spoglądasz na mnie i ze zgrozą podnosisz dłoń do nieba, oskarżając mnie o socyalistyczne pojęcia... lecz na moją obronę powiem ci, iż dowiedzioną jest rzeczą w naszym wieku, że majątek nigdy dłużej nie utrzymuje się w jednej rodzinie jak przez trzy pokolenia. Zwykle ojciec zbiera pieniądze, syn utrzymuje jako tako zebrane plony a wnuk najczęściej traci wszystko... A ty jesteś już wnukiem, Ludwiku Hérault-Gandon i potrafisz tracić majątek, wszakże postradałeś już cały posag, jaki ci został po matce... I resztę postarasz się stracić, chyba że ci ktoś wyborne założy wędzidło i pohamuje w zapale!

— Dziękuję ci za nauczkę; czy nic nie żądasz jako wynagrodzenie za twoje trudy? — z lekkiem szyderstwem zapytał Ludwik.

— Nic, moje dziecię, udzielam ci rad moich bezinteresownie, korzystaj z nich jeśli możesz. Wątpię jednak czy się nad niemi zastanowisz.

Niekiedy Ludwik zniecierpliwiony argumentami dwóch kobiet mówił, przybierając poważną minę:

— Bardzo dobrze, dla waszego zadowolenia pojadę do Paryża i odwiedzę fabrykę.

Na co Emilia odpowiadała mu zwykle:

— Nie rób tego, proszę cię Ludwiku. Zmęczysz się jadąc koleją, wieczorem pójdziesz do klubu na odpoczynek i przegrasz z tysiąc luidorów w bakarata a jutro powrócisz czemprędzej do nas na obiad... No i po co trudzić się podróżą?...

Ludwik ze śmiechem przyjmował ironiczne żarty Emilii i zwykle kończyło się na tem, że wybierano się na wspólną przechadzkę. Ale Helena bynajmniej nie była zadowoloną z takiego obrotu rzeczy i za złe miała Emilii, że tak lekko traktowała poważne kwestye. Panna Lereboulley uważała zawsze Ludwika jak duże dziecko, nie mające żadnej wytrwałości a sąd ten wydawał się Helenie ubliżającym. Zdawało jej się, że ten kto ubliża wnukowi jej dobrodziejki i jej samej ujmę także przynosi. Kiedyś mówiła nawet o tem z panią Hérault, która przyznała jej najzupełniejszą słuszność, sama bowiem marzyła o tem, aby ostatni spadkobierca rodu, dowiódł wreszcie dzielnemi czynami, że w jego żyłach płynie zdrowa krew dziada i ojca.

Mniemała, że Ludwik wyszumiawszy jak każdy młody, ustatkuje się i stanie się rozsądniejszym. Obecna zmiana jego usposobienia zdawała się za-

powiadać spełnienie marzeń babki. Młody człowiek był na dobrej drodze, nie należało tylko zbyt wiele od niego wymagać. Samo zamiłowanie dodomowego ogniska, wróżyło jak najlepsze usposobienie, dawniej Ludwik podróżował całemi miesiącami, spędzając lato w Trouville a zimę w Monaco, gdzie grał lub biesiadował w wesołem kółku, pędząc życie wśród nieustającej rozkoszy i można go było spotkać wszędzie z wyjątkiem w domu, a teraz nie odddalał się nigdzie i dobrze mu było na wsi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIADOMOŚCI Z RÓŻNYCH STRON.

Od miesiąca mieliśmy zaledwo dni kilka niepewnej pogody. Deszcze nieustanne przez pół zniweczyły całoroczną pracę rolnika, zatruły wesołe wycieczki mieszkańca miasta i wszystkim w ogóle ciężko się dały we znaki.

Jednak wszystkie całoletnie deszcze dotychczasowe były tylko przygrywką do ulewy, która się rozpoczęła w Warszawie w zaprzeszły czwartek około godziny 9 wieczór i dotrwała do rana w sobotę; ulewa w połączeniu z piorunami rozpoczęła się w Niemczech środkowych, a wzmagając się coraz bardziej, szła szeroką ławą przez Szlązk pruski, potem zaś w granicach Królestwa Polskiego. Główny kierunek szalejącego żywiołu szedł prawie po równoleżnikach od zachodu na wschód.

W Warszawie najbardziej ucierpiały dwie instytucye publiczne: kanalizacya i tramwaje.

Po za granicami miasta oczywiście najwięcej ucierpiały okolice, leżące na linii ulewy, a więc najbardziej droga Warszawsko-Wiedeńska i jej pobrzeża.

Z Otwocka donoszą, że burza zczwartku na piątek sprawiła ogromne szkody w okolicy. Na polach zalanych wodą pływa siano i zżęte zboże. Drzewa w ogrodach połamane, warzywa powyrywane, słowem smutny widok zniszczenia, straty materyalne wielkie.

W Tykocinie istnieje t. zw. „alumnat tykocińskl", przeznaczony na schronienie dla inwalidów wojskowych wyznania rzymsko-katolickiego. Alumnat ustanowiony jest dla 23 inwalidów, którzy oprócz mieszkania, opału i światła otrzymują po 30 rs. rocznie na żywność. W roku ubiegłym znajdowało się w zakładzie 20 osób, z których opuściło schronienie 2, zmarł 1, pozostało więc na rok bieżący 17. Inwalidzi przebyli w alumnacie 7,254 dni instytutowych, a pobyt każdego z nich wyniósł średnio 362,7 dni. Utrzymanie jednego inwalidy kosztowało dziennie 14 kop. Dochodu miał alumnat w roku zeszłym 1,199 rs., wydatków 1,019rs. 44 kop., zostało więc remanentu 179 rs. 91 i pół kop. Kapitał zapasowy alumnatu składa się z funduszu, ulokowanego w warszawskim kantorze banku państwa, w sumie 18,005 rs. i z 283 rs. 20 kop. zabezpieczonych hypotecznie. Procent od tego kapitału stanowi jedyny dochód alumnatu w Tykocinie.

Powtórne pochowanie śmiertelnych szczątków Beethoven'a, nastąpiło dnia 22 Czerwca. Prochy nieśmiertelnego mistrza spoczęły w grobie na centralnym cmentarzu, między pomnikiem Mozart'a a grobem dla Schubert'a przeznaczonym. O godzinie 2-iej po południu zebrały się na cmentarzu Währing, gdzie dotąd spoczywały zwłoki Beethoven'a, różne stowarzyszenia i korporacye, przedewszystkiem muzyczne, przedstawiciele władz i grono publiczności. Wieńców nadesłano sporo, a powszechną uwagę zwrócił przepyszny wieniec, ofiarowany przez miasto Wiedeń. Rodzinę wielkiego nieboszczyka przedstawiało potomstwo obu córek Karola Beethoven'a, siostrzeńca i przybranego syna mistrza. Prochy Beethoven'a spoczęły we wspaniałej trumnie metalowej, ozdobionej godłami sztuki oraz jego nazwiskiem. Przed karawanem jechał konno chorąży w starofrancuzkim stroju, trzymając czarny sztandar z wieńcem wawrzynu, przysłoniętym krepą; dalej następowali dwaj jeźdźcy z latarniami, wozy z wieńcami i w końcu galowy karawan. Publiczność niezbyt licznie towarzyszyła przez ulice żałobnemu orszakowi, zgromadziła się liczniej nieco na cmentarzu centralnym, gdzie kondukt stanął po 4-ej. Poświęcenia prochów dopełnił biskup d r Angerer, który jako jedenastoletni chłopiec, w 1827 roku, obecnym był na pogrzebie Beethoven'a. Profesorowie konserwatoryum zanieśli trumnę do grobu, nad którym wznosi się skromny obelisk z białego marmuru, będący wierną kopią wzniesionego niegdyś na cmentarzu Währing. Pierwszy przemówił aktor Lewinsky, następnie burmistrz Wiednia i inni, poczem stowarzyszenia śpiewackie zaintonowały chór Beethoven'a „Ehre Gottes" i spuszczono trumnę, a grudki ziemi posypały się do grobu, który już teraz na wieki zawierać będzie prochy wielkiego mistrza tonów.

Siostrzeńcy Papieża nie mają powodu liczyć na majątek Ojca świętego. W tych czasach dostojny wuj prosił ich, aby wybrali sobie podarunek na pamiątkę jubileuszu, pod warunkiem jednak, że nie będzie to żaden z przedmiotów przeznaczonych dla kościołów lub do skarbca świętego Piotra. Siostrzeńcy, myśląc prawdopodobnie, że skromność ta zostanie sowicie wynagrodzoną, pozostawili wybór Leonowi XIII. Papież ofiarował im... skóry tygrysie.

Akademia paryzka każe obecnie bić złoty medal dla królowej rumuńskiej. Carmen Sylva otrzyma to odznaczenie za swoją poezyę: „Śpiew lasu". Medal będzie już w tych dniach wykończony, a na następnem posiedzeniu akademii, które się odbędzie pod prezydencyą Sully-Prudhomme'a, nagroda przyznana królowej Rumunii, ogłoszona będzie publicznie.

Z dziedziny mody. Paryżanki, te wyrocznie mody dla płci pięknej całego świata, lubują się w obecnym sezonie w jaskrawych barwach, oryginalnych deseniach materyałów na suknie i oryginalniejszych jeszcze fasonach. Nietyle estetyczny ile dziwaczny styl *empire* i *directoire* przeważa, a między kolorami barwa jasno-zielona prym trzyma. Jako materyały używane są najwięcej gazy, muśliny, fulary, w najfantastyczniejsze desenie. Najmodniejszem przybraniem stroju damskiego są kwiaty, umieszczane już nietylko na kapeluszach i sukniach, ale nawet na bucikach. Na ostatnich wielkich wyścigach w Paryżu, powszechną uwagę zwróciło kilka parasolików pokrytych różami herbatniemi, suknia czarna koronkowa zasiana czerwonemi goździkami, inna tualeta cała z niezapominajek, nie wyłączając parasolika i bucików, trzecia z podzwrotnikowych kwiatów wodnych, której właścicielka otrzymała przydomek najady.

Wzruszająca owacya miała miejsce niedawno w Aradzie. Dawano w teatrze po raz pierwszy nową sztukę ludową niewidomego autora, nazwiskiem Karol Illés. Pozbawiony wzroku, nie mógł sam pisać, musiał dyktować; pozbawiony wzroku, musiał się wyrzec największej radości autora, nie mógł patrzéć na postacie swego utworu, chodzące po scenie. Sztuka zyskała ogólne uznanie a grzmiące oklaski i okrzyki wywoływały go po każdym akcie, i tu znów biedak wyrzec się musiał uciechy widzenia uśmiechającej się publiczności i podanego mu wieńca wawrzynowego. Jedna z artystek podprowadziła niewidomego naprzód sceny, gdzie macał rękami w powietrzu, dopóki nie pochwycił za wieniec, a wtedy przycisnął go do serca i z zgasłych oczu popłynęły łzy. Widok to był tak wzruszający, że większa część widzów się rozpłakała.

Cesarzowa Wiktorya, pomimo strasznego gromu, jaki w nią uderzył, nie jest złamaną ani fizycznie, ani psychicznie. Pomimo niezmiernej boleści, jaką nosi w duszy, nie przestała ani na chwilę dawać dowodów pamięci o każdym najdrobniejszym szczególe stosunku serca, wiążącego ją z drogim nieboszczykiem. Nad zwłokami cesarza Fryderyka z pomiędzy całego ogrodu krzewów i bukietów, wspaniałych wyborem i ogromem, wyzierał skromny kubek z kilkoma niepozornemi kwiatami. Były to ostatnie kwiatki, które wąchał cesarz. Umieściły je tam dłonie cesarzowej. Ona to pamiętała i o tem, aby jedwabną białą chusteczkę, tę, którą podała mu, gdy po raz ostatni rzucił na nią gasnącem okiem, obwiązano mu szyję do trumny. Do złocistych, dumnych orderów, jakie Fryderyk III poniósł ze sobą do grobu, cesarzowa dołączyła złoty łańcuszek, na którym wiszą trzy medaliony: ukryte są w nich trzy pierwsze wizerunki, ofiarowane niegdyś przez nią narzeczonemu. Cesarzowa pamiętała o ułożeniu osobnej listy mężów zasłużonych, których osobiście zaprosiła, aby raz jeszcze przybyli spojrzéć na oblicze zmarłego. Byli to prawie wyłącznie uczeni i artyści, których cesarz szczególnie poważał, a których nazwiska nie znajdują się zwykle na listach, układanych przez stróżów etykiety dworskiej. Rozczulającym był widok tych sędziwych po większej części, a uderzających rozumnym swym charakterystycznym wyrazem postaci, które na dworcu poczdamskim ze łzami w oczach wsiadały do wagonu, w rękach trzymając pamiątki, dla złożenia ich przy zwłokach ukochanego „przyjaciela na tronie". Jeden niósł palmę z Nazarethu, drugi bukiecik makartowski który niegdyś podobał się cesarzowi i t. d.

Sprzedaż biletów do raju, jak donosi „Saratow. Dniew.", odbywa się we wsi Osikowie, wchwalewskim powiecie, nad rzeką Tereszką, w majątku księcia Koczubeja, szerzy się tam bowiem oryginalna propaganda pomiędzy sekciarzami.

Włościanin Atanazy Sawelew Konowałow, wspólnie z synem Andrzejem, sprzedają swym adeptom bilety do nieba i mistrze ci twierdzą, że należy się śpieszyć, gdyż nie wiele już pozostaje miejsc wolnych, w przybytku wiekuistego szczęścia.

Według ich nauki, miejsca w raju dzielą się tylko na dwie kategorye: pierwszej i drugiej klasy. Bilety do 1-ej klasy sprzedają po 10 rs., a do 2-ej po 5 rs.

Kupujący bilet do 1 klasy, siedzieć tam będzie w fotelu i będzie miéć także kanapę lub sofę, na której wylegać się może do woli; kupujący zaś bilet do 2 klasy, dostanie tylko taburet, na którym przez wieki siedzieć musi, przyglądając się wygodom szczęśliwców 1 klasy.

W roku zeszłym zdarzył się zabawny wypadek: Biedny włościanin ze wsi pomienionej, T. Iwanow, sprzedał tajemnie przed swym synem trochę jęczmienia, aby sobie kupić bilet do raju 1-ej klasy. Jednakże syn wkrótce się dowiedział o tem i gorzko ojcu to wymawiał, że będąc tak biednym, chce zasiadać w niebie na pierwszym miejscu.

— Dosyć było kupić bilet do 2 ej klasy — mówił syn nieutulony w żalu.

Ojciec z początku się zapierał, lecz gdy wymówkom nie było końca, zniecierpliwiony starzec przyznał się, ale zarazem strofował syna, za brak miłości synowskiej.

— A cóż ty sobie myślisz, niegodziwcze! — mówił oburzony ojciec — dla marnych pięciu rubli różnicy, mamże siedzieć przez całą wieczność na stołku, nie mogąc się nigdy jak należy wyciągnąć, nigdy leżeć i spać do woli na sofie?

Syn zawstydzony, uspokoił się nareszcie i przyznał ojcu słuszność.

Pieniędzy otrzymanych za pomienione bilety, mistrz Konowałow nie bierze do ręki, lecz każe je kłaść na stole, a ztamtąd bierze je w zęby, a syn Andrzej wyjmuje mu z ust i chowa do kieszeni.

Przezorna gospodyni. — Mój drogi — narzeka żona do męża — jakże mogłeś wynajmować mieszkanie letnie w takiej odległości za miastem... nasi goście będą mieli szalony apetyt po takiej podróży.

* * *

Znudzony. X. — Widziałem na Rigi śliczny wschód słońca...

Y. (obojętnie) — To jeszcze tam istnieje to zjawisko?...

* * *

Z życia amerykańskiego. — Dlaczego, panie konduktorze — pytała podróżująca dama — pociąg tak szybko teraz pędzi?

— Niech się pani nie lęka, za dwie minuty będziemy przejeżdżać przez zupełnie zepsuty most; trzeba więc to niebezpieczne miejsce jak najszybciej przebyć.

* * *

W gronie urzędników pewnej instytucyi prywatnej, czytamy w „Dzienniku dla Wszystkich”, pracuje X., człowiek średniego wieku, który ma długi język, ciekawość, złośliwość i zdolność przeinaczania faktów.

Jednem słowem X. był arcyplotkarzem, ale to plotkarzem szkodliwym, tak dalece, że niedawno omal nie stał się powodem rozejścia się wzorowego małżeństwa, przez nieopatrznie rzucone słowo.

Koledzy postanowili go więc ukarać, a uskutecznili to w sposób oryginalny.

Dni temu kilka X. otrzymał spory pakiet, w którym po rozwinięciu zobaczył olbrzymi język z tektury, oraz wielką kartę z ozdobnym, kolorowym napisem:

„X-owi, w dowód uznania jego gorliwej pracy, godło jego specyalności, śmie ofiarować na wieczystą rzeczy pamiątkę, grono „obrabianych” kolegów.”

Następował potem wierszyk tej treści:

Twój język niezrównane zalety posiada...
Nigdy milczéć niemoże — wciąż gada, a gada,
A choć ludzi kaleczy niby żądłem osy,
Niezważa, że im takie przykre sprawia ciosy,
Taka szlachetna praca godną jest uznania,
To nas więc jednozgodnie by uczcić cię skłania —
Przyjmij ten język sztuczny, gdy twój się sforsuje,
Ten ci się przyda pewnie — z braku wyratuje.

podpisano „Oczerniani”.

X. po otrzymaniu tego daru, wyjechał z Warszawy zupełnie.

RÓŻNE MYŚLI.

Kto umie odmieniać słowo *mieć*, jest orłem w finansach.

Mirabeau.

ZAWIADOMIENIA.

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 32 wyszedł z druku i zawiera:

Z dawnych czasów. — Tylko z matką (wiersz). — Chrzest narodu russkiego. — Wspomnienia z podróży Jana Grudziaka po Ameryce (z drzeworytem). — Chrystus wzywający św. Mateusza na Apostoła (z drzeworytem). — Zatoka i port Bostonu (z drzew.). — Czyny nauczające. — Dwie siostry. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Niespodzianki Janka (z drzeworytem). — Piesek i chłopczyk (wiersz). — Skarga Joasi. — Ludmiłka (wiersz). — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 27 Іюля 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.